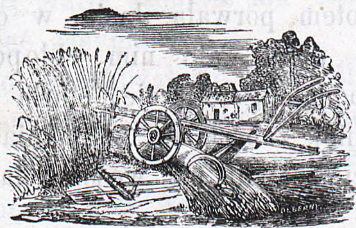
Tom I. 11. Maja 1870. **Nr. 14**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb.

Powieść prawdziwa z dawnych czasów.

Zaledwie rok minął od śmierci pana Gniewosza z Dalewic, a już w kamienicy jego w Krakowie wszystko zmieniło się nie do poznania. Mój Boże! któżby przed rokiem był uwierzył, że Jaś Gniewosz, cała ojca nadzieja, tułać się będzie dzisiaj po czeladnej izbie, że dla biednej dzieciny sługa tkliwsze mieć będzie serce, niż matka rodzona.

Ale bo też Marta, piastunka Jasia, to sługa jakiej szukać w świecie. Powiadali, że nieboszczyk pan, kiedy oczy na śmiertelnej pościeli zamykał, kazał Martę do swego łoża przywołać, długo z nią sam na sam rozmawiał, i opiekę nad swojem dzieckiem jej, a nie własnej żonie poruczył.

Na kolanach u Marty Jasiowi było dobrze jak w niebie Ona go pieściła, tuliła, szeptała mu o ojcu. Jaś dobrze ojca pamiętał, ale siedmioletni chłopczyna nie pojmował jeszcze, co to nie mieć ojca. Marta wszystkiem mu była.

Wtem zaszeleściało w sieni, drzwi skrzypły, blask rzęsistego światła i odgłos muzyki wpadł do izby. Weszła pani wystrojona jak do ślubu, — choć to były dopiero jej zaręczyny, — błyszcząca od złota i drogich kamieni, ale dziwnie

zmieniona, smutna. Stanęła przed Martą i dziecięciem swojem, załamała ręce. Potem porwała Jasia w objęcia, gwałtownie przycisnęła go do piersi, ale nim chłopczyna mógł słowo wyrzec do matki, oddała go Marcie, otarła łzy z oczu i wyszła.

Muzyka huczniej zabrzmiała w pokojach i głośno ozwały się wiwaty. Goście bawili się wesoło, jak zwykle w dniu zaręczyn.

Ten i ów przypomniał stare przysłowie:

— U wdowy chleb gotowy...

— Ale nie każdemu zdrowy, ktoś z boku powie...

— U wdowy chleb gotowy, ale wyproszony...

— Jakoś to będzie, zawoła pan młody, pewny siebie, pewny że sobie da radę.

Tymczasem w izbie czeladnej Marta szeptała dziecinie:

— Czy wiesz ty Jasiu, że będziesz miał ojczyma?

— Nie chcę ojczyma, daj mi kluczyk, chcę koniecznie kluczyka, co go nosisz na piersiach.

— Nie dam ci kluczyka, moje dziecko, odpowiedziała Marta, ten kluczyk nie do zabawy. Widzisz ja go chowam i szanuję, aby broń Boże nie zginął. Kiedyś będziesz mi wdzięczny, żem ci go dochowała, ale to jeszcze daleko, bardzo daleko do tego... lat siedemnaście...

— Ale ja chcę koniecznie kluczyka...

— Poczekaj, dam ci co innego. To mówiąc wstała i wyjęła piernik ze skrzynki.

Malec wyciągnął obie ręce do przysmaczka, a zjadłszy łakotkę, zapomniał o kluczyku, którego tak się napierał przed chwilą.

— Moja Marto, rzekł obejmując ją rękami za szyję, co ja ci dam za to, że ty taką dobrą jesteś dla mnie?

— Poczekaj moje dziecko, odpowiedziała: jak urośniesz, i będziesz panem dasz mi spokojny kącik w izbie czeladnej albo mały domek gdzie niedaleko od dworu, abym cię często widzić mogła.

— Wizbie czeladnej? O nie! powiedział chłopczyk, ty będziesz ze mną we dworze mieszkać, w najpiękniejszym pokoju, bo ty mnie kochasz najbardziej.

To mówiąc dziecię przytuliło się do Marty i skłoniło główkę na jej piersi; Marta szeptała mu słodkie wyrazy coraz ciszej i ciszej, bo Jaś zasypiał.

Parę dni minęło. Przybliżał się dzień ślubu pani Gniewoszowej. Siedziała samotna w swoim pokoju i dumała. Znać ciężko jej na sercu, bo znowu smutna: ale czemu—któż to wie?

W tem drzwi się otwarły, wszedł ksiądz Augustyanin i przestawił się pani jako nowy przełożony klasztoru św. Katarzyny w Krakowie.

— Cóż to się stało księdzu Jackowi, że tak nagle opuścił ziemskie mieszkanie? pytała pani. Ostatni to był prawdziwy przyjaciel nieboszczyka mego męża, dodała z westchnieniem.

— Tak prędko Bóg go powołał, odpowiedział ksiądz, ale ja tu właśnie z tego powodu przychodzę do waszmości pani, bo wieści chodzą po mieście, że święte j pamięci małżonek waszmości złożył u księdza Jacka jakiś skarb, a my nie wiemy o niczem i klasztor radby się oczyścić z zarzutów.

— O żadnym skarbie nie wiem, odpowiedziała pani. Wszakże nieboszczyk w moich rękach całe swoje mienie zostawił, dlaczegoż by miał skarb komu innemu powierzać, gdyby go miał.

— Tak i my mówimy, miłościwa pani, ale cóż począć z ludzkiemi językami. Mówią ludzie, że świętej pamięci małżonek waszmości otrzymał od arcyksięcia rakuskiego Wilhelma za to, że mu sprzyjał gdy się starał o rękę królówej Jadwigi sprzęt bogaty, pieniądze i klejnoty, i że to wszystko złożył w rękach księdza Jacka; wieści zaś takie bardzo szkodzą dobrej sławie klasztoru.

— Mój księże, powie na to pani, a któż lepiej od was powinien umieć znosić obmowę ludzką?

— Prawda miłościwa pani, ale przecie miałem sobie za powinność zapytać ostatecznie Waszej miłości czy macie do nas jakie żądania?

— Żadnego nie mam żądania, nie wiem o tem wszystkiem, nigdy słowa o tem od nieboszczyka męża nie słyszałam i gotowam to stwierdzić na piśmie.

— Teraz już jestem spokojny, rzecze kapłan. Świętej pamięci ksiądz Jacek, przez cały czas swego przełożeństwa układał sobie, że wystawi obok naszego klasztoru, klasztor dla zakonnic i zbierał na ten cel dary pobożne. Owoż znaleźliśmy w skarbcu kościelnym skrzynię z temi darami i chcemy rozpocząć budowę, a tylko to nas wstrzymuje, ponieważ właśnie o tej skrzyni chodzą wieści, że własnością jest waszą.

— Budujcie klasztor i niech wam Bóg dopomaga, a z obmowy ludzkiej nic sobie nie róbcie; ja pierwsza tym wieściom zaprzeczę.

Odszedł ksiądz, śmiało skrzynię otworzył i rozpoczął fabrykę. W parę lat stanął dom poświęcony na przytułek dla pobożnych niewiast, chcących z życia swego uczynić Bogu ofiarę.

W tymczasie, gdy ów klasztor budowano, wielkie zaszły zmiany w losie rodziny Gniewosza z Dalawic Wdowa po nim wyszła za mąż. Bóg ją obdarzył dziatkami, a wówczas i w czeladnej izbie miejsca dla Jasia nie stało. Kto ma być sierotą, lepiej się nie rodzić. Sierota cięższa niż kamień, sierotą dziurę zatkać wszędzie. Przyszło do tego, że Jaś opuścić musiał dom rodzicielski i pójść w świat za oczy. Szczęściem nie był całkiem opuszczony, bo mu wierna Marta została. Ona mu opiekunką i matką była, na chleb pracowała, aby go wyżywić i do szkół posyłać, a krewniacy ojca dopomogali. Bóg błogosławił usiłowaniom Marty i jej chęciom poczciwym: Jaś chował się pięknie, rósł zdrowo i uczył się dobrze.

Rok za rokiem szybko przemijał. Przyszło do tego, że Jan Gniewosz niepotrzebował już, aby Marta pracowała na niego. Już on na nią i na siebie pracował i wspólną dolę poprawił. O matce jednak własnej nic nie wiedział i ona nie wiedziała o nim. Głuche wieści tylko dochodziły do Krakowa, że jej się nie najlepiej powodzi.

— Ach Jasiu, dałby Bóg, abyś ty jak najprędzej skończył dwadzieścia cztery lat, o Boże daj mi tej chwili doczekać! mawiała często Marta do swego wychowanka.

Na zapytanie Jana, dlaczego tak niecierpliwie tego dnia wygląda uśmiechem tylko tajemniczym odpowiadała i nigdy nie chciała wyjawić prawdy.

Ale dzień ten upragniony nadszedł nareszcie. Wówczas Marta kazała Janowi usiąść przy sobie i w długą wdała się z nim rozmowę. Opowiadała mu o ojcu, o jego zgonie, opowiadała jak ją w ostatniej godzinie przyzwał do siebie, aby jej poruczyć opiekę nad synem i kluczyk od skarbu, co miał całe mienie jedynaka stanowić na wypadek, gdyby matka wstąpiła ponownie w związek małżeński.

Jan słuchał z natężoną uwagą, a Marta zdjęła ze szyi sznurek, na którym od owego czasu kluczyk od tego skarbu nosiła.

— Przykazał mi ojciec, abym ci go nie oddała aż w dniu dzisiejszym. Oto masz; pójdziemy teraz do przełożonego klasztoru św. Katarzyny, tam skrzynia złożona, ja ci ją wskażę, a ty zabierzesz mienie.

Biorąc kluczyk, przypomniał sobie, jak się go w dziecińśtwie do zabawy napierał. Rozrzewiony upadł przed Martą na kolana, dziękował, że tak święcie dopełniła woli ojca i cieszył się skarbem nie dla tego, że się teraz bogatszym stanie, ale dla tego, że Marcie będzie mógł resztę życia osłodzić i nagrodzić ją za wszystkie trudy i walki, za jej szlachetne poświęcenie.

Próżna radość! próżna nadzieja! Od owego czasu już trzeciego przełożonego miał klasztor św. Katarzyny. Nikt nie wiedział, co się stało ze skarbem. Ledwie znalazł się jeden sędziwy zakonnik, który sobie przypomniał, że mówiono o tem przed ośmnastu laty, po nagłej śmierci księdza Jacka, ale sama pani Gniewoszowa, zapytywana o to, zaprzeczyła prawdziwości ludzkich podejrzeń i domysłów, i pozwoliła użyć skarbu na budowę klasztoru dla zakonnic.

Marta usłyszawszy to, padła bez zmysłów i ledwie się jej dotrzeźwiono. Jan wyprowadził ją z klasztoru i na cmentarzu przed furtą gmachu wzniesionego za jego mienie, słodkiemi słowy pocieszyć ją usiłował. Wtem postrzegł niewiastę jakąś, staruszkę, w nędznem ubraniu i z wyrazem okropnej boleści na twarzy, która właśnie do furty się zbliżyła, stanęła i wzrok utkwiła. Jan drgnął sam nie wiedząc dla czego, a w tem niewiasta owa wydała krzyk i rzuciła się ku niemu.

— Mój syn!

— Moja matka!

Długa chwila minęła w milczeniu, nim oboje z pierwszego ochłonęli wrażenia.

— O jakże ciężko Bóg ukarał mię za ciebie, moje dziecko, szeptała staruszka; ileż cierpień, ile łez, ile boleści! jaka straszna pokuta! Okropne było całe moje życie od naszego rozłączenia, wreszcie mąż umarł, dzieci wszystkie poumierały, całe mienie stracone. Przyszłam poświęcić Bogu w murach klasztoru resztę życia i pokutować. Synu czy nie przebaczasz?

— Matko, wszystko zapomniane, kiedy cię czuję przy mojem sercu. Ale czy wiesz matko za czyje pieniądze ten klasztor wzniesiony? Przypominasz sobie, jak ci się pytano o skarb po moim ojcu? Marta miała klucz od niego, i tylko ona o nim wiedziała. Dziś przyszliśmy go odebrać, ale niestety już i wieść prawie o skarbie zaginęła.

— Przebóg! więc to była prawda?... i za tęn skarb.....

— Za ten skarb stanął dom przytułku dla ciebie moja biedna matko, a ja dziękuję Bogu, że się tak stało. Widzę w tem palec Opatrzności i z uszanowaniem korzę się przed jej wyrokami.

W tej chwili furta klasztorna otwarła się przed nieszczęśliwą, aby się za nią zamknąć na zawsze. Jan klęczał, matka udzieliła mu ostatnie błogosławieństwo i pożegnała go na całe życie.

Gdy przyszedł do siebie z głębokiego wzruszenia, obejrzał się za Martą i postrzegł ją pochyloną na kamieniu pod murem klasztornym. Przystąpił do niej, ujął za rękę i odskoczył nagle:

— O Boże! ona nie żyje!

Złamany boleścią, bezprzytomny prawie, ukląkł i szeptał:

— Duchu przybranej matki wstępuj do nieba po zasłużony wieniec nagrody i módl się za mną, módl się za nieszczęśliwą w tych murach zamkniętą, co tak wiele wycierpiała i jeszcze cierpi!

Stanisław Krakowczyk.

Pieśń sierotki.

Miałam ojca, miałam matkę,
Drodzy sercu byli,
Poszli, poszli, pustą chatkę,
I mnie zostawili.

Ni pocieszyć mię niebogę,
Ni popieścić komu,
W niepewną się puszczam drogę,
Od domu do domu.

Pójdę czasem do mogiły,
Gdzie matka spoczywa,
Płaczę, wołam co mam siły,
Nikt się nie odzywa.

Tylko wicher smutno szumi,
I trawka się chwieje;
Nikt nie pojmie, niezrozumie,
Co się w sercu dzieje.

Jeden przyjmie i posili,
Drugi mnie odpycha;
A po licu w każdej chwili
Płynie łezka cicha.

Ksiądz Boduin

fundator szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Może już i słyszeliście coś o tym pobożnym księdzu Boduinie? Tutaj również opowiem piękną o nim historję.

Już minęło temu kilka setek lat, jak ów bogobojny i świętobliwy kapłan Boduin żył w Warszawie.

Otóż on będąc wielce litościwym, ubolewał bardzo nad tem, że często biedne dzieci, sieroty, tak zwane podrzutki, umierały z głodu, jeszcze w niemowlęctwie. I począł przemyśliwać nad tem, aby można taki dom, taki szpital zafundować w którym by biedne sieroty, niemowlęta, miały pewne schronienie i przytułek i dalsze wychowanie.

Lecz cóż on biedny zakonnik temu poradzi? jakże tu z niczego co zrobić? Ale widzicie, takiemu człowiekowi, co

chce dla bliźnich dobra i co pożytecznego uczynić, to prawie zawsze Pan Bóg dopomoże; bo jako ojciec miłości, ma upodobanie w sprawach naszych, jeżeli te pochodzą z miłości bliźniego.

Tak też i tego Boduina natchnął Bóg myślą, iżby szedł od domu do domu po kweście, i zbierał pieniądze, na założenie takiego szpitalu.



Ksiądz Boduin.

Pobożny kapłan poszedł od razu za tem natchnieniem, a opowiedziawszy swoją intencję, puścił się zbierać od litościwych datki po Warszawie.

I poszczęściło mu się bardzo, zaraz na początku, myśl ta jego pobożna podobała się wszystkim, i zewsząd poczęły spływać chojne dary, na taki piękny zamysł.

Ależ to wszystko było jeszcze mało, na tę fundację! to też pobożny zakonnik nie przestawał kwesty, ufając iż swój zamysł doprowadzi do skutku.

Tymczasem podobało się Panu Bogu, spróbować go jednego dnia, aby go później nagrodzić hojniej w jego gorliwości.

Chodząc po Warszawie, mijał właśnie wspaniały dom zajezdny, do którego bogacze z okolic zajeżdżali na gospodę, więc też wszedł do niego. A że to było już pod wieczór, więc widział, jak rzęsiste światła błyszczały w oknach. Musi tam być dużo gości myślał, i zamożni i szczęśliwi, bo wesoły, gwar bowiem było słychać na ulicę. Z tem większą też otuchą i nadzieją wstąpił w dom, i podążył nawschody. Gdy wszedł do pokoju, z którego najwięcej słychać było głosów; stanąwszy we drzwiach, z pokorą wyrzekł chrześcijańskie pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ a gdy nie odebrał odpowiedzi, zbliżył się z nieśmiałością do stołu, przy którym siedzieli widać jacyś bardzo bogacze, na stole bowiem przed nimi leżała kupa złota; i oświadczył swą prośbę. Aż serce uderzyło poczciwemu mnichowi na ten widok, bo myśli, że jego kwestarska sakwa, nie odejdzie ztąd próżno.

Omylił się srodze, — gdyż to byli zawołani gracze w karty a gracze nie mogą mieć serca dobrego, bo by lekomyślnie nie zgrywali jedni drugich, i nie robili nieszczęśliwemi żon swych i dzieci. — A kto nie pamięta na własne dzieci, jakoż ma mieć staranie o cudzych sierotach?

To też ci gracze zapamiętali, ani się słowem do mnicha na jego prośbę nie odezwali, ani nawet na niego i nie spojrzeli.

Gdy pokorny ksiądz Boduin, zaczął powtarzać swą prośbę, jeden z graczów, któremu właśnie w tej chwili, nie posłużyło szczęście, i przegrał wszystko swe złoto do drugich; nie mając się na nikim zemścić, zerwał się ze stołka, a wybuchnąwszy z przekleństwem na kapłana, że ten się naprzykrza, uderzył go w policzek.

I cóż? myślelibyście, że ten czcigodny mnich rozgniewał się za taką obelgę? lub odstąpił od gorliwości swej kwesty?

Bynajmniej, lecz zniósłszy ból cierpliwie, odezwał się z największą łagodnością w te słowa:

„Policzek dostałem dla siebie, a cóż teraz dostanę dla moich sierot?“

Wtedy gracz zdziwiony taką pokorą i cnotą kapłana, skruszony jego dobrocią, rzucił mu się do nóg, prosząc o przebaczenie; ci inni zaś gracze, widząc to, tak się tem rozczulili, iż aby nagrodzić kapłanowi, zagarnęli wszystko złoto, jakie było przed nimi i oddali cnotliwemu kapłanowi na szpital. I to złoto w istocie największy fundusz przyniosło, i przez to prędzej powstał dobroczynny ten zakład.

Ludka z Myślenic.

Wilk w baraniej skórze.

Powiastka

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dokończenie)

Kiedy Mateusz ucichł i skończył pacierz, podnosił na nowo głos i bijąc się w piersi mówił:

— Boże bądź miłościw grzesznej mojej duszy — i póty to robił aż wreszcie obadwa włościanie znudzeni, machnęli rękoma i rzekł Jan:

— Niechże będzie jak chcecie, damy wam i wosku i miodu..

Mateusz udał że nie słyszy, i przeżegnawszy się rzekł:

— Jak się modlę to nic wiem nic co się koło mnie dzieje Coś mówiliście, ale nie wiem co takiego.

Włościanie powtórzyli swoje postanowienie dania wosku i miodu, Mateusz westchnął mówiąc: nie dla mnie to, tylko dla chwały Boskiej.

— Nie bluźnijcie po próżnicy — zawołał Jan tracąc wszelką cierpliwość — wy nie Boga macie w myśli, tylko mamonę. — Pamiętajcie, że to grzech wielki, może ludzi oszukacie, ale nie Boga, bo Bóg słucha mowy, czyta w sercu i patrzy na uczynki,

— Oj! prawda – prawda — przerwał Mateusz nie lubiący mowy podobnej – chodźcie więc do komory bo i wam zapewne pilno i ja nie czasowy.

Kiedy Mateusz uchylił drzwi, zadrżał, bo mu przez okienko mignął jakby cień ludzki i za ścianą słyszeć się dało niby chrupotanie chwastów i badyli gnących się pod nogą przechodnia.

— Ej! to wieprzek — odezwali się włościanie zobaczywszy przestrach malujący się na twarzy Mateusza

— Tak - tak — to wieprzek — powtórzył z radością.

— Kiedy wreszcie z włościanami załatwił się, patrząc za odchodzącymi ścisnął pięść i szepnął do siebie z największą złością:

— Kaznodzieja! mądrala! — a równie do mnie po ratunek przychodzi. — Maciej potulniejszy to da mi jeszcze serek bo widziałem że schnie u niego kilka pod ścianą

— I stało się jak pragnął —

Serek, miód, wosk, i gąska jeszcze tego samego dnia znalazły sie w chałupie Mateusza Z radości też aż zatarł ręce i potem obliczył sobie w myśli, co zarobił na nieoględnych sąsiadach.

Takiemi to sposobami Mateusz dorabiał się mienia. Wyciągał ostatni grosz z biednego człowieka a frymarcząc wszystkiem, nabożeństwem, sumieniem, biciem się w piersi, zaklinaniem, oszukiwał nie Boga ani nawet ludzi, tylko samego siebie. Dla tego też słusznie zwano go wilkiem w baraniej skórze. Jednak ten cień, co go postrzegł w komorze, trzask łamanych badyli i wejście Józefa z Walkową na podwórze, choć był pewny, że drzwi dobrze zamknął, zaniepokoiły go wielce· Myślał dzień i noc, coby to mogło znaczyć, stał się dwa razy jeszcze we wszystkiem ostrożniejszy, zrywał się czasami w nocy zachodząc do komory bo mu się zdawało że ktoś po niej chodzi, ale pomału przekonawszy się, że to tylko przywidzenie uspokoił się wreszcie zupełnie Przyszły żniwa ozime. Włościanie jednego dnia korzystając z pięknej pogody, wysypali się całą gromadą w pole, tak że we wsi pozostały tylko małe dzieci. Mateusz jednak nie poszedł i pozostał w domu sam jeden. Takie osamotnienie wsi przerażało go, obudzając

obawę kradzieży. Kiedy wieczorem już późnym wrócono do domu, z domu Mateusza podniósł się krzyk niezmierny i głośny płacz, dowodzący jakiegoś nadzwyczajnego wypadku. Wprędce też ludzie zbiegli się gromadą i z wielkiem przerażeniem ujrzeli Mateusza leżącego w izbie na ziemi nie dającego żadnych znaków życia. Żona jego załamując ręce głośno lamentowała, syn biegał po izbie jak obłąkany, a sąsiadki dopomagały do ogólnej wrzawy stojąc i dziwiąc się z założonemi rękami. Nadbiegło wreszcie kilku porządniejszych włościan, zaczęli Mateusza oblewać wodą, wycierać, aż wreszcie omdlały otworzył oczy i spojrzawszy po wszytkich, krzyknął wielkim głosem:

— Ludzie ratujcie! ja biedny człowiek, ratujcie! ratujcie! i upadłszy na łóżko zagrzebał się z głową w pościeli. Kiedy go ztamtąd chciano wydobyć, piszczał, rzucał się, bronił i ciągle jedno powtarzał:

— Ludzie ratujcie! ja biedny nędzarz! ratujcie! ratujcie!

— Mateusz wyraźnie oszalał — zaczęli szeptać pomiędzy sobą ludzie i dawszy różne rady i przestrogi, pomału rozeszli się do domów.

Na drugi dopiero dzień z urywanych słów Mateusza dowiedziano się, że korzystając z obecności ludzi we wsi, napadło go trzech nieznajomych mężczyzn, i straszliwemi mękami wymogli na nim, że pokazał, gdzie me ukryte pieniądze. — Co się dalej działo, nic już nie wiedział, bo omdlał, a kiedy wrócił do przytomności, zdawało mu się, że izba jest pełna rabusiów. — Od tego nieszczęśliwego wypadku Mateusz chodził jak obłąkany. — Do reszty osiwiał, wyłysiał, wychudł jak szkielet i był więcej do mary podobny, jak do człowieka. — Ludzie litując się nad nieszczęśliwym grzesznikiem, pocieszali, krzepili religijnie jak mogli, doradzali upamiętanie, ale wszystko nic nie pomagało. — Na wszystkie rozumne słowa, Mateusz jedno zawsze odpowiadał:

— Co mi znaczą wasze słowa, kiedy mi nie wrócą mojej krwawej pracy.

Aż wreszcie jednego dnia zaniemógł obłożnie i zażądał przyjęcia ostatnich świętych Sakramentów. — Przyjechał więc

z Obrazowa zacny proboszcz Drozdowski ze świętą komunią, ludzi zbiegła się cała gromada, a gdy spowiedź ukończoną została, wszyscy weszli do izby. — Mateusz leżał na łóżku blady jak trup i tylko znać było po poruszeniu ust, że się modli. — Kiedy żona i syn załkali głośnym płaczem, Mateusz skinął na nich i rzekł:

— Nie płaczcie, ale cieszcie się, bom chodził w śmiertelnym grzechu, a teraz czuję, że Bóg wstąpił do mojego serca. — Dawniej Boga miałem tylko w ustach, a pieniądz, największą marność w myśli i duszy, i on był moim prawie Bogiem. — Straciłem go, stałem się ze zgryzoty jak szalony, a nie pomyślałem, że dopust ten był największym miłosierdziem Bożem, bo mię oświecił i nauczył, że człek wszystko opuści, a tylko z duszą stanie na strasznym sądzie ostatecznym. — Dziś czuję, jakim byłem grzesznikiem; powtarzałem bez myśli w pacierzu codziennym: n i e b ę d z i e s z m i a ł c u d z y c h b o g ó w p r z e d e m n ą, a jednak pieniądz czciłem jak Boga. — Żal mi, żal niewysłowiony zmarnowanego życia.... czy Bóg przebaczy?.... czy ulituje się nad moim błędem?!....

I rzekłszy to, z wielkim wysiłkiem podniósł głowę, z przerażeniem przerzucił oczyma po gromadzie ludzi i chwytając za rękę kapłana, zawołał wielkim głosem:

— Ojcze duchowny, ratuj grzesznika; powiedz: czy Bóg przebaczy mi i da zbawienie dla mojej czarnej duszy?

— Miłosierdzie Boskie jest nieograniczone, jeżeli więc żałujesz szczerze, to Bog przebaczy i roztworzy podwoje swego nieba, dla przyjęcia twej duszy oczyszczonej spowiedzią.

— Żałuję!.... żałuję!.... wyjąkał umierający i całą twarz zalał łzami, usta poruszyły się modlitwą i zawoławszy:

— W Twoje ręce Panie oddaję duszę moją....

Zamilkł, — i na łożu zostało martwe ciało, a dusza uniosła się w niebieskie wyżyny do podnóżka tronu Wszechmocnego Pana.

Kto napaści na Mateuszu dokonał, zostało dotąd tajemnicą. — Nie znaleziono po nim ani jednego grosza, a syna choć nie został bogaczem, szanują ludzie, tem bardziej, że wszystkie fanty wydał bez wykupu, i o ile ojciec był chciwym derusem,

o tyle on starał się być zawsze litościwym. — Nie dał mu jednak Bóg dziatek, a po śmierci dość wcześnie grunta i całe mienie poszło na podział między familję, tak, że dziś śladu nawet nie zostało z osady Ziemby.

Różne są drogi Boskie, któremi Stwórca wiedzie ludzi do zbawienia. — W nieszczęściu też nie należy narzekać, ale badać siebie, czem człowiek błądzi.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Bulwa znana u nas bez porównania dawniej, niż ziemniaki, nie rozprzestrzeniła się przecież, jak na to bardzo sprawiedliwie zasługuje.

Posadzona raz w gruncie, trwa w nim do 12tu lat — i to jest jedną z jej zalet; ale ztąd, że niełatwo pozbyć się jej z pola, zasługuje na niejaką naganę, ale ta nagana ustaje, gdy bulwę uprawiamy na jakim kawałku pola, od reszty oderwanym.

Ma bulwa, tak samo jak ziemniak, wiele wody, ale ma mniej od niego włókna drzewnego, niewiele mączki różnej od ziemniaczanej, zwanej inulinem; za to ma w sobie wiele cukru i jest łatwą do strawienia. Na stoły pańskie dają bulwę tak, jak szparagi, lub z winną zaprawą (szodonem). Ubożsi mogą ją jeść pieczoną z barszczem, mlekiem, kapustą kwaśną, lub uduszoną z mięsiwem. Można też pokrajaną bulwę kisić z kapustą. Dla dojnych krów jest ona z powodu, że ma w sobie wiele cukru, wybornym pokarmem, a najużyteczniejszym przed wiosną i z wiosny, nim się jaka zielona pasza pojawi. Jej liście jest także dobrym pokarmem dla bydła; jednakże gdy się liście wcześnie obrywa, zmniejsza się plon w ziemi. Dopiero w jesieni staje się liście bulwy bardzo pożądanem, ponieważ nie ulega silniejszym mrozom, daje zieloną paszę wtedy, kiedy o nią już z kądinąd trudno. Łodygi w okolicach ubogich w drzewo są cennym opałowym materyałem. Można ich użyć i na podściel dla bydła; lecz należy je naprzód ułożyć na twarde miejsca i zgnieść jeżdżąc po nich ciężkim wozem.

Bulwa, oprócz w moczarnym, darzy się w każdym gruncie byleby był dobrze, głęboko uprawionym i dostatecznie nawie-

zionym. Nawiezienie obornikiem należy powtarzać co 4, nawet co trzy lata; obfity plon zapłaci go dostatecznie.

Sadzić należy bulwę, skoro rola obeschnie, na wiosnę, w rzędach na 2 ½—3 stóp i w tejże odległości jednę od drugiej. Oczyszczać, osiekiwać i ogartywać ją od razu, skoro dostatecznie podniknie. Gdzie rola sypka, można bulwę sadzić od razu na grzbietach, poczynionych obsypywaczem. To nie wyklucza jednakże późniejszego obchodzenia rośliny motyką.

Wykopuje się ziemny owoc w jesieni, ile go potrzeba, w zimie, jeśli ziemia nie zamarznięta, i wczas na wiosnę, nim się roślinność obudzi. Co się wykopie na dłuższy zapas, należy przechowywać w suchych nakrytych rowach; w piwnicy w cieńkich warstwach pod nakryciem słomy, bo owoc ten, wystawiony na powietrze i światło, wnet się psuje, dlatego na nasienie przewozi się go w beczkach, lub baryłkbch zadnionych po obu stronach.

W drugim i następnym roku, skoro z korzonków w ziemi pozostałybh powschodzą rośliny, należy, gdzie są kupkami porozrzedzać je, a gdzieby ich brakło, podosadzać. Pierwej jednak, t. j. przed obudzeniem się roślinności, należy grunt płytko zorać i zbronować. Aby się pozbyć bulwy z pola, należy na nie przez całe lato puszczać chlewną trzodę.

Wilk syty i baran cały.

II.

Stary, głodem wynędzniony wilk, nie wiedział jak zaspokoić łaknienie; udał się więc do patrona zwierząt i rzekł z pokorą: Patronie nasz wielki! ratuj mnie starca, bo zginę marnie z głodu.

Odpowie patron: idź prosto po pod las, za górę; na dolinie pasie się stado owiec, tych nie płosz, bo i pasterz czujny i psy srogie; ale postępuj ostrożnie, opodal pasie się samotnie stary, słabiuchny baran. Tego nagle napadnij, a nie wdawaj się z nim w żadne rozmowy, zatłum i pożyw się do syta.

Wilk skłonił się i poszedł uradowany. Znalazł wszystko, jak mu patron przepowiedział. Zbliżył się do barana i uchwycił go z lekka za kark.

Baran rzecze: wielmożny panie wilku, miej litość nad starcem! Co ci po mnie, jam skóra i kości. Powie wilk: zjem cię, bo łaknę bardzo. — Kiedyż, rzecze baran, ten trud wcale niepotrzebny, bo ja mogę być cały, a wielmożny pan syty. Zapyta wilk: jakim sposobem? — Oto, prawi baran, ja wnijdę na górę, w. pan stań pod górą; ja rozpędzę się z góry i skoczę cały w. panu przez gardło do brzucha. Podobało się to wilkowi, więc rzeknie: niechaj i tak będzie.

Czynią jak się umowili. Baran rozpędził się, trzasnął z całej siły wilczyska rogami w łeb i ubił na śmierć.

Ztąd ta wynika nauka, że jeśli kto od kogo powziął dobrą radę, to niechaj ją sobie dobrze pamięta i całą — i niech tak zrobi wszystko, jak mu kazano.

Złote ziarna.

Nie za wodami szczęście i nie za górami:
Jest wszędzie, bo Bóg wszędzie wciąż czuwa nad nami.

Jak Boga, tak i szczęścia trzeba szukać w sobie,
I szukać w tejże chwili, nie w późniejszej dobie.

Kto swych bliźnich wspomaga, bardzo się bogaci,
On zbiera milliony, tylko grosze traci.

Rozum pokuł olbrzymy, cnota złość pokona,
W rozumie i zacności największa obrona.

Bogatym być ci wewnątrz nikt a nikt nie zbroni,
Bogactwa zewnątrz człeka, to bogactwa w toni.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiazra